Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 245 (Rok XIV, Nr 8) 15 kwietnia 1954 Cena (Price) 1/6

MINĄŁ MIESIĄC

MINĄŁ miesiąc odkąd stronnictwa i ugrupowania polskie podpisały Akt Zjednoczenia. Minęły dwa tygodnie odkąd podpisy swoje dołączyły dwie ostatnie grupy. Po raz pierwszy na emigracji mamy jedność polityczną. Ciągłość prawna naczelnych władz państwowych uzyskać może w każdej chwili tak mocne oparcie jakiego nie miała od lat.

A tymczasem... prez. August Zaleski nie podpisuje nominacji gen. Kazimierza Sosnkowskiego, którego sam prosił o objęcie następstwa na urzędzie Prezydenta Rzeczypospolitej i który uzyskał poparcie wszystkich stronnictw.

Nie ma argumentu mogącego usprawiedliwić wobec opinii publicznej ten stan rzeczy. Sprawa polska już na nim cierpi. Obniża się powaga najwyższego urzędu, cień człowieka pada na godność stanowiska. Ci obcy, których nie miło zdumiały dojrzałość i patriotyzm stronnictw polskich, uśmiechają się triumfująco, że jednak nie jest tak dobrze z tymi Polakami jak wyglądało.

Ciemne typy zaczynają wychylać się z mroków. Jakiś anonim nadużywający znanego polskiego nazwiska Kostka, wydał broszurę pod oszukańczym tytułem „O przeciwnikach zjednoczenia słów kilkoro", w której z uporem pijackim stara się wykazać, że Akt Zjednoczenia nie ma znaczenia, i po rzuceniu paru cuchnących oszczerstw, stwierdza, że Prezydent Rzeczypospolitej „skupiając w swym urzędzie jednolitą i niepodzielną władzę państwową, może i powinien decydować w zakresie tej władzy zgodnie ze swoim sumieniem i odpowiedzialnością... Nikt i nic, ani nacisk opinii publicznej nie może wpłynąć na tak zasadniczą decyzję, jak decyzja sumienia człowieka biorącego odpowiedzialność przed Bogiem i historią... tylko cynicy polityczni uważają, że odpowiedzialność doczesna, odpowiedzialność przed jakimś trybunałem jest większa i cięższa, niż odpowiedzialność przed Bogiem i historią".

Cynicy polityczni... Cynikiem politycznym jest jakiś mały agent od brudnych robót, który używa imienia Bożego dla uzasadnienia łamania zobowiązań i warcholstwa antypaństwowego z czyjejkolwiek strony. Cynikiem jest ciemna figura usiłująca grać na zatracie poczucia rzeczywistości niektórych ludzi i spychająca ideę ciągłości prawnej państwa dla ambicji i interesu w rynsztok śmieszności — przy akompaniamencie wielkich słów.

Oczywiście tego rodzaju broszurkowe liberum veto nie wpłynie ani na tok wydarzeń, ani na stanowisko opinii polskiej. Wskazuje ono natomiast na głębokie schorzenia psychiczne jednostek i na to jak bardzo konieczne, jak zbawienne dla atmosfery naszego działania na emigracji jest wejście w życie postanowień Aktu Zjednoczenia.

BOMBA WODOROWA

W wyścigu zbrojeń Stany Zjednoczone znów wysunęły się na pierwsze miejsce, ukazując światu przerażającą siłę bomby wodorowej. Skutki jej wybuchu są nadzwyczajne, nie ma dziś wielkiego miasta na świecie, które nie zostałoby zniszczone jednym takim pociskiem. Jednocześnie w dyskusji na ten temat ujawniono, że bomby są bardzo małe rozmiarami. Oto 25 kilogramowa bomba z plutonium odpowiada rozmiarami piłce tenisowej. Tak więc nowoczesna wojna doszła do posiadania mocy zdolnej zetrzeć z powierzchni ziemi Moskwę, Nowy Jork, czy Londyn, a zawartej w bryłce odpowiadającej kamieniowi starożytnego procarza.

Praktyczne skutki nowej broni są niewymierne. Użyta w czasie wojny może wytworzyć zagadnienia przekraczające możliwości naszej cywilizacji. Wyraził to brutalnie jeden z burmistrzów amerykańskich na konferencji lokalnych pracowników cywilnej obrony przeciwlotniczej mówiąc: „Cóż poczniemy z kwestią pochowania 8 milionów trupów?".

Sam fakt istnienia takiej broni nie znaczy wcale, że musi być ona użyta. Rozpylenie śmiercionośnego proszku powstałego w czasie wybuchu, jak się okazało jest zależne od wiatru na dużych wysokościach, kierunek zaś tego wiatru nie zawsze da się obliczyć. Z tego też powodu rybacy japońscy znaleźli się pod „obstrzałem", chociaż strefa ich pobytu miała być bezpieczna. W tych warunkach nie jest wykluczone. że bomba wodorowa może podzielić los gazów trujących w ostatniej wojnie.

Niemniej jednak Ameryka ma bombę. Czy mają ją także Sowiety? Jak

Z OKAZJI ŚWIĄT WIELKANOCNYCH SKŁADAMY WSZYSTKIM CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM NASZEGO PISMA SERDECZNE ŻYCZENIA.

„MYŚL POLSKA"

pamiętamy, sowiecki premier powiedział zeszłego lata, iż „Stany Zjednoczone nie mają już monopolu na bombę wodorową“ i po tym oświadczeniu nastąpił oficjalny wybuch bomby sowieckiej. Wybuch zanotowany przez stacje badawcze w wolnym świecie był zadziwiająco mały — trzy razy większy od zwykłej bomby atomowej. Tymczasem wypróbowana na Bikini jest 600 razy silniejsza od atomowej. Czy bomba sowiecka nie jest więc wypadkiem ulepszoną atomówką, a nie potworem wodorowym. Tak jak jest prawdopodobne, że Sowiety mogą tę straszną broń posiadać, tak również jest możliwe, że jeszcze nie mają i tylko propagandowo chwalą się jej posiadaniem. Byłby to normalny bluff sowieckiej polityki zagranicznej. Wątpliwości nie można dziś rozstrzygnąć. Pewne jest jedno, że Amerykanie wyprzedzają Sowiety. Jakie będą konsekwencje polityczne tego przodownictwa?

Posiadanie broni stwarza z Ameryki i Sowietów dwa decydujące czynniki na świecie. W drugim szeregu idą inne państwa posiadające już bombę atomowa, ale nie wodorową, lub pracujące nad wykorzystaniem energii atomowej. Są to Wielka Brytania, Francja, Niemcy zachodnie, Szwecja i Chiny. W ten sposób możliwości przemysłowe i ilość ludności zadecydowały o „wielkiej dwójce“, pretendenci natomaist do trójki, czwórki czy piątki zostają na boku w sytuacji drugoplanowej.

Broń wodorowa w ręku dwóch tylko państw przeraziła inne narody, szczególnie gęsto zamieszkałe na niewielkich stosunkowo terytoriach. Jaskrawym przykładem są Wielka Brytania i Japonia. Japończycy pierwsi odczuli na własnej skórze co to znaczy wojna atomowa i dalej odczuwają (w sposób łagodniejszy jednak) wszystkie eksperymenty przeprowadzane przez Sowiety na Syberii i Stany Zjednoczone na Pacyfiku. Wielka Brytania z racji swego położenia w Europie obawia się możliwych klęsk w razie jakiejkolwiek wojny. W obu krajach reakcja na wiadomości o niszczycielskiej potędze bomby wodorowej chwilami graniczyła z paniką. Do jej wzmocnienia przyczyniły się usiłowania prosowieckich kół politycznych, które stale pomniejszają groźbę bolszewicką i rozdymają rzekomą amerykańską.

Pomimo narzekań pacyfistów, głosów prasy i parlamentów zbrojenia atomowe będą szły naprzód. Wynika z tego jeden wniosek: świat robi się tak przeraźliwie mały i nieodporny na grożące mu zniszczenia, że współistnienie dwóch potęg zmierzających do uzyskania roli kierowniczej zaczyna być paradoksem. Czy paradoks ten skończy się ugięciem jednej z nich, czy straszliwą wojną, nie wiadomo.

BEZ OSZUSTÓW ANI RUSZ

Z wielkim hałasem i krzykiem wyrzucono z szeregów kompartii dr S. Szantera, pod zarzutami oszukiwania komunistycznych słuchaczy i czytelników przez szerzenie pseudonaukowych teorii i pobieranie pieniędy za niewygłoszone odczyty. Długi artykuł w „Trybunie Ludu“ opisuje całą sprawę przy pomocy dobranych szczegółów.

Gazeta komunistyczna twierdzi, że dr Szanter był przed wojną współpracownikiem sanacyjno-lewicowego „Kuriera Wileńskiego“, gdzie zamieszczano mu artykuły na wszystkie możliwe tematy, o ludziach i wsi, o krowach, o reformie szkolnictwa, o odrodzeniu cywilizacji. Po wojnie wydał książkę pt. „Socjologia kobiety“ z przedmową prof. Bystronia, w której powiedział m.i.: „Wojna podnieca płciowo każdego: wodzów, oficerów, żołnierzy i nawet ofiary wojny . . . Dlatego jest nieunikniona, dopóki ludzie cierpią na erotomanię, wynikłą wskutek degradacji społecznej kobiety“.

Tak genialny pisarz umiejący połączyć propagandę pokoju z walką o równouprawnienie kobiet i wszystko zaprawić sosikiem seksualizmu, oczywiście cieszył się poparciem reżimu od początku. Został zaangażowany na objazdowego wykładowcę przez Ligę Wojujących Bezbożników, zwaną dziś delikatnie Towarzystwem Wiedzy Powszechnej i przez ostatnie lata wyjaśniał biednym mieszkańcom naszego kraju takie zagadnienia, jak „o powstaniu życia na ziemi“, „o wszechświecie“, „o teorii i praktyce pedagogicznej pracy szkolnej“. Miał najwyższe pochwały działaczy prowincjonalnych ZMP i wojskowych politruków, pisywał w „Przekroju“ i „Życiu Warszawy“ na tematy pseudonaukowe. Szerzył „doświadczenia radzieckie z dziedziny biologii“ i tłumaczył drukowanym słowem, że pomidory są szkodliwe dla zdrowia. Na cześć sowieckiego pseudobiologa Łysienki napisał dwa potężne artykuły pt.: „Kształtowanie się organizmów zwierzęcych pod wpływem warunków środowiskowych“ oraz „Życie wyszło z wody na ląd dzięki przekształceniu się ryb w płazy“. Był tak wpływowy, iż zaproszono go jako referenta na zebranie warszawskiego oddziału Towarzystwa Zoologicznego.

W zimie 1954 r. wszystkie instytucje komunistyczne raptem pozbyły się dr Szantera. Dlaczego? Odpowiedź mniej mówi o Szanterze, więcej o moralności środowiska komunistycznego.

Szantera wyrzucono, bo Łysienko przestał być modny. Oszustów typu Szantera było i jest wielu. Szerzą oni podobnie głupie tezy jak i bohater tego opowiadania. Komunistom to nic nie przeszkadza, ponieważ przyzwyczaili się do obecności wpływowych oszustów w ich szeregach. Korzystają z nich szczególnie w pseudonaukowych towarzystwach w rodzaju bezbożniczego TWP. Dopiero gdy się wiatr zmieni wyrzucają ich i nawet pozwalają niezorientowanej publiczności powiedzieć, co od dawna na ten temat myślała.

Dopuszczony do głosu prof. J. Muszyński określił biologiczno-pomidorowe prace Szantera jako „pseudonaukowe artykuły zawierające horrendalne głupstwa z dziedziny biologii, botaniki i medycyny“. Opublikowano również podobną uchwałę Towarzystwa Zoologicznego.

Ale przez dziewięć lat Szanter przydawał się i dostawał pochwały. Dopiero gdy okazał się niepotrzebny, wtedy wyrzucono go na śmietnik i wypomniano pisywanie przed wojną do sanacyjnej gazety. Tymczasem praktyka dotychczasowa wykazała, że komuniści bardzo chętnie posługują się wszelkiego rodzaju oportunistami i lokajami, służącymi każdemu rządowi za pieniądze. Wszak sam spec od czystek Jóźwiak-Witold mówił na II zjeździe PZPR, że partia utrzymywała byłego komisarza policji na dobrym stanowisku i korzystała z usług dwóch wojewódzkich referentów bezpieczeństwa sprzed wojny we własnym aparacie administracyjnym. Wszystkim im dano karty partyjne i najszersze uprawnienia w prześladowaniu „reakcjonistów“, co zdaje się gorliwie robili. Dopiero, gdy stali się niepotrzebni, wtedy z wielkim larum oskarżono ich, że przed wojną aresztowali komunistów.

Satelickie partie komunistyczne bez oszustów i sługusów obejść się nie mogą. Pozbawione prawdziwego oparcia w społeczeństwie muszą posługiwać się najemnikami. Zabawny jest więc ten hałas.

X. BISKUP LUDWIK ŁĘTOWSKI (1786—1869)

POJEDYNEK DWÓCH NARODÓW

Ludwik Łętowski (1786—1869), późniejszy biskup joppejski, senator Rzeczypospolitej Krakowskiej, administrator diecezjalny krakowski, dziekan kapituły i kustosz katedralny krakowski, za lat młodych służył w wojsku Księstwa Warszawskiego, i to w sztabie księcia Józefa. Widział wtedy kawał świata, z niejednego pieca chleb jadł. Do stanu duchownego wstąpił dopiero w r. 1817 mając lat z górą trzydzieści. Obdarzony żyłką pisarską, zwłaszcza gawędziarską, wydał obok poważnego „Katalogu biskupów, prałatów i kanoników krakowskich“ (Kraków, 1852), również i część swoich wspomnień i zapisków pod tytułem „Miscellanea“, t. I, Kraków, 1866. Niestety, dalszy tom nie wyszedł, niewątpliwie z powodu zbyt żołniersko jowialnego tonu tych biskupich wspomnień! Dowiadujemy się nawet, że ów tom należy dziś do rzadkości, bo był systematycznie niszczony przez krakowską kapitułę (por. Henryk Barycz w wydaniu „Wspomnień“ Łętowskiego z r. 1952, Wrocław, Ossolineum).

Łętowski był urodzonym gawędziarzem, nierównym, ale nieraz soczystym i niezmiernie cennym, gdyż notował co zasłyszał. A słyszał wiele z czasów sięgających jeszcze XVIII wieku, poprzez Księstwo Warszawskie, Kongresówkę, Powstanie i wreszcie Rzeczpospolitą Krakowską, — nie mówiąc już i o późniejszej Galicji. Opisuje nie tylko co widział, ale, jako gawędziarz, i co z zasłyszanych gawęd po dworach szlacheckich spamiętał. Czasem nadaje tym słuchom formę wręcz nowelistyczną.

Jedno z tych opowiadań zamieszczamy poniżej. Jest ono z paru względów ciekawe. Rzuca światło na pewną legendę, jaka otaczała już młodość księcia Adama, jeszcze tylko jako syna generała ziem podolskich, z czasów jego pierwszego pobytu w Anglii, u progu sejmu czteroletniego. Po wtóre styl tej gawędy pozwala nam zorientować się w upodobaniach literackich takiego Krakowa, gdzieś między Rzewuskim a Kaczkowskim (ten ostatni bywał gościem u Księdza Biskupa Joppejskiego). Coś tu istotnie jest z „Pamiętników Soplicy“, ale jakby na nowszą nutę, mniej stanisławowską czy nawet saską, a już bardziej dziewiętnastowieczną, choć niby przedromantyczną. Ileż tu jednak romantyzmu w tym tęsknym wracaniu do szczęśliwej przeszłości, nie znającej kordonów, właśnie jak np. w „Murdelionie“ Kaczkowskiego. Rzuca się tu też w oczy, że o Kongresówce mówiło się w Krakowie owoczesnym po prostu — Polska.

Opowiadanie niniejsze, zawarte w „Miscellaneach“ z r. 1866, było do niedawna trudno dostępne z powodu wycofywania i niszczenia tego tomu. Obecnie przedrukowano je w wrocławskim wydaniu z r. 1952. Ze względu na pewną aktualność „angielską“, a też i na osobę księcia Adama, decydujemy się tekst ten zamieścić i w „Myśli Polskiej“ ku uciesze bawiących na tej wyspie, ale się zbytnio nie bawiących, polskich wygnańców. Niechby zresztą i Anglicy dowiedzieli się o swym zwycięstwie w tym „pojedynku dwóch narodów“!

W. F.

Vina dabant animos
Ov. Metfrs. l. XII. fol. 3

MAŁACHOWSKI Wojewoda Mazowiecki, syn Jana kanclerza koronnego, urodzony z Humnickiej, mieszkał w Borkowicach w Opoczyńskiem, był Senator godny, kraju swego miłośnik wielki, a przy wielu przymiotach niepospolitych mógł pić jak mało kto. Pani Wojewodzina dama wysokiego tonu, była z domu Działyńska, do wielu pięknych cnót łączyła nabożeństwo przykładne, a ksiądz Drzewiecki później Opatem Jędrzejowskim, był spowiednikiem całego domu. — Dom był to wzięty na całą okolicę i szanowany dla obejścia się z ludźmi, i gościnności staropolskiej: już to obojga, już to mianowicie dla pana Wojewody. Trzech dniówki odbywały się często gęsto w Borkowicach i nie bez Malinowskiego, głośne na całe Radomskie, graczem w tym rzemieśle doświadczonego gospodarza. — Pan Wojewoda po takiej zabawie sypiał długo na dzień, a pani Wojewodzina ubrana od rana na kanapie wyprostowana siedząc, wyglądała łaskawego sąsiedztwa: bez którego dnia jednego nie obeszło się w domu, witając, co kto przybędzie wedle rangi i estymu. Pan Wojewoda nudził sobą, jeśli nie byłoby nikogo, a był dopiero w swoim humorze, gdy najechała się kompanija: bo nie było mu zabawy bez dobrego przyjaciela i lampeczki; a nie przebierał bardzo, i rad był każdemu, co dobre gardło miał, a do północka dotrzymał placu.

Czwartek był pamiętam jak dziś, na parę godzin przed południem; siedziała już w pełnym stroju pani Wojewodzina na kanapie, w izbie bawialnej z oknami otwartymi na ogród. Na to Bartłomiej hajduk na półtora chłopa długi, w barwie Nałęczów niebieskie z białem, wejdzie na izbę i stanie. Co takiego? powie pani Wojewodzina: sługa arendarska z karczmy z pod kościoła, przyprowadziła jakiegoś Pana do dworu. Spytać, rzecze pani Wojewodzina. co za jeden? Nie zmówi się z nimi JWPani! — Była nie nowina w Borkowicach, gość daleki, lub kto obcy z Warszawy, każe go więc prosić do pokoju. Podróżny był cudzoziemiec, wieku średniego, ubrany po zagranicznemu, i zagada do pani Wojewodziny po francusku ale nie osobliwie i prosi aby mu powiedziała: czy jest w Borkowicach? na odpowiedź że tak jest, pokaże pugilares, w którym zapisane stało, Borkowice: państwo Wojewodztwo Małachowscy. Zapytała go wtedy pani Wojewodzina: z kim miała szczęście mówić? Podróżny uśmiechnie się i powie: Szkot jestem, mój ojciec lord Westermorland (sic), a ja kawaler Demby. Mogęż wiedzieć, co sprowadziło do nas tak zacnego gościa, rzecze pani Wojewodzina, i kto mógł podać jemu nasze imie i miejsce pobytu, a pismo w pugilaresie zdaje mi się być polskie? — Tak jest, powie podróżny, pismo jest polskie i ziomka Państwa Wojewodztwa, Xiążęcia Adama Czartoryskiego, co bawi od pół roku w Anglii*). — Na to pani Wojewodzina spojrzy się gościowi w oczy, jak domyślałaby się czegoś; bowiem Xiąże był wielki sowizdrzał, i co niedawno wypłatał figla damom warszawskim, począwszy od swojej żony, wyspowiadawszy je co do jednej, przebrany za misjonarza; poczem po takiej awanturze**) ujechał do Anglii. — Co sprowadziło przecież pana do nas, spyta się pani Wojewodzina, i w czem możemy jemu być wysłużni? Pomięszany nieco wędrowiec odpowie: mam złożyć uszanowanie moje, a ukłony od książęcia, panu Wojewodzie. — Mój mąż około południa służyć będzie panu, rzecze pani Wojewodzina, bo nie zdrów po dniu wczorajszym, a tymczasem proszę do ogrodu i zadzwoni. On hajduk sążnisty wejdzie, i każe mu: idźcie po księdza Drzewieckiego, co pójdzie z Anglikiem do ogrodu. — Pani Wojewodzina wyprawiwszy Szkota swego na dwór, pośpieszy do męża, który nie spał już i powie mu o gościu Angliku,

---

*) Jest to więc rok 1789. na który właśnie przypada pobyt młodego księcia Adama, właśnie na studiach w Edynburgu.

Tak więc i nasz Szkot — a nie Anglik — wydaje się odpowiadać rzeczywistości. Zachowała się z tych czasów relacja angielska o młodym Czartoryskim. Znajdujemy ją w liście niejakiego dr Currie do Thomasa Creevey, M. P. z dnia 31. 10. 1803 (cyt. Handelsman, A. Czartoryski, Warszawa, 1948, t. I, str. 24): „Miał wtedy jakieś 20 lub 21 lat, był naprawdę młodzieńcem very fine, pełnym wielkich oczekiwań na szczęśliwe zmiany społeczne (echo początków wielkiego sejmu!), pełen zapału, dobrej woli i gotowości do przygód (adventure)... Bardzo polubiłem Czartoryskiego i on zwykł był jeździć ze mną konno... Jest to człowiek o wyglądzie angielskim (English looking man), śniady, bardzo wysoki i przystojny“. Przykład takiej adventure mamy w naszej opowieści! — Przyjaźnił się wtedy młody książę z rodzinami Lansdowne'ów, Argyle'ów, Straffordów i Hamiltonów.

**) Właśnie „adventure“!

przysłanym do Borkowic od Xiążęcia Adama Czartoryskiego — Za czymże? Spyta pan Wojewoda; tego nie powiada, odrzecze pani Wojewodzina. — Ciekawa rzecz, powie pan Wojewoda, czego on tu chce, ale na taki kredens*) człek zacny musi być. Każcież Imość nakryć do śniadania po ludzku, abyśmy wstydu nie mieli; bo te zamorcy jedzą i piją dobrze, a z obiadem zaczekać kawałek. Do karczmy skoczy zaś kozak, a żyd niech powie: Co usłyszał od ludzi; a ma powóz i konie, to wziąść do dworu.

O dwunastej rano znak dzwonkiem na kościele na Anioł Pański, a dzwonkiem przy dworze do śniadania. Pan Wojewoda czekał na gościa w jadalnej izbie, ubrany w karmazyn z gwiazdą na piersiach. Stół był przez całą izbę, a na srebrzystych misach stały rozstawione po nim: szynki, wędliny różne, marynaty, hultajski bigos, zrazy polskie, kasza jedna i druga, kiełbasa, kiszki; a na bocznym stoliku stały flaszki z wódkami: gdańską i domową, arakiem, rumem; przy czem łakocia rozmaite kandyzowane i smażone, konfitury, owoce suche, a w koszu piwo i porter. Do śniadania zeszło się na dzwonek sporo osób. Był miejscowy ksiądz proboszcz z wikarym, rodzaj plenipotenta szlachcic posesionat o wiosce i skryba jego, kuse diable niemczyk do klawicymbała dla córeczki, francuzica bez zębów guwernantka, dwóch panów braci szlachty rezydentów miejscowych, species przyjaciela domowego generał, tak go zwano, dwie panny respektowe i ochmistrzyni nad fraucymerem, trzech paniczów z pedagogą domowym, i co dopiero z wozu zlazłe dwóch bernachów z Wielkiejwoli, laików z wygolonymi pałkami. Pani Wojewodzina weszła ostatnia, a za nią przybyli po chwili ks. Drzewiecki z Anglikiem. — Anglik nauczony jak mówić z panem Wojewodą, przywitał go łaciną wcale dobrą, a w to było grać panu Wojewodzie. Wymawiał, bo wymawiał niepoczciwie: mniejsza o to! Pan Wojewoda mówił i lubił mówić po łacinie, a miał ten język wielki szacunek u niego, i posiadał go wybornie. Chciałeś zalecić się jemu, to plunąć mu było tylko Cyceronem słów kilka. Spodobał też sobie do razu Anglika. Śniadanie poczęło się od wódek, a co pan Wojewoda pił to i Anglik pił, poczem usiedli do stołu. Wojewoda jadł ulubiony swój bigos hultajski, po trzykroć wracając się do misy, a Anglik drabował po całym stole i żadnej nie opuścił, chwaląc sobie osobliwie wędliny nasze. Miejscowi dopomagali nie żałując gęby, ale zamorcowi nikt sprostać nie mógł, co jak to mówił od Warszawy do Borkowic przez dwa dni drogi, kawałka chleba nie miał w uściech. Pojadłszy sobie, wrócili się Wojewoda z Anglikiem do wódki, poczem Wojewoda pił piwo domowe, a Anglik chłodził się porterem. — Około pierwszej wypróżniła się izba jadalna, a gospodarz z gościem weszli do bawialnej komnaty, skąd drzwi były do ogrodu. — Zostawiwszy państwo Wojewodztwo Anglika z Opatem, bo tak tytułowano ks. Drzewieckiego, był on Cystersem i professem Andrzejowskim, sami wynieśli się na stronę, będąc ciekawą pani Wojewodzina, czy Anglik nie wymówiłby się był przed mężem, po co przyjechał? ale Wojewoda tyle wiedział co żona. Anglik jadł i pił, bawił się, a pytać się panu Wojewodzie nie wypadało o to, zaś ks. Drzewieckiego, gdy natrącał o tem, zbywał śmiechem. Zachodzili też w głowę oboje, co mogła być ta podróż, tak daleka przez morza; a mianowicie pani Wojewodzinie nie podobała się ona rekomendacja, gdyż co tylko o włos, co nie wysłuchał był ją spowiedzi, niegodziwe książątko figlarz. Słuchaj Imość rzecze mąż: już ci on nie do naszej Anulki zagląda? Co Jegomości w głowie, pani Wojewodzina powie, to dziecko, ma lat 13 dopiero i nie pokazujemy go jeszcze ludziom. — Bądź co bądź, będziem wiedzieli nie dziś, to jutro, czego on tu chce, odrzecze Wojewoda; a Imość każ tylko nakryć do stołu później nieco, gdyż drzemkę zrobię. Jestże zwierzyna, zapyta? Rogacza co dopiero przywieźli, powie pani Wojewodzina. No! Pamiętajże Imość, aby mięsiwa było multum, bo ten wyspiarz widzieliśmy je i pije dobrze, wcale uczciwy człowiek! — O trzeciej punkt dano do stołu, a na dzwonek zeszli się ci wszyscy co do śniadania. Pan Wojewoda w środku stoła siadł pomiędzy Anglikiem po prawej, a Opata mając po lewej siebie. — Na prost przez stół pana Wojewody, siedziała pani Wojewodzina pomiędzy ks. proboszczem a generałem, a domowi co tego było, zajęli próżne miejsca. Ks. proboszcz odmówił pacierz i rozdawał z wazy, taki był zwyczaj. Obiad był polski: dwie zupy, dwie sztukamięsy, potrawa czarna i biała, a na pieczyste: dzik i sarna. Anglik wszystko jadł: dwie zupy, obie sztuka-mięs, potrawy i pieczyste: a co pan Wojewoda wychylił kieliszek, to on drugi. Wyjąwszy pana Wojewodę i Anglika, co mówili po łacinie, reszta stołu milczała. Anglik był wesoły nad podziw, a pan Wojewoda kontent, śmiał się. Ks. Opat miał się z pyszna, bo białego mnicha nie był widział. Ks. Proboszcz tłumaczył pani Wojewodzinie o czem mowa, a generała niecierpliwiło to. Był to generał co szabli nie miał w ręku, a fartuszkowy ten rycerz, obiegłszy wprzód parę domów pańskich, przyczepił się w końcu do Małachowskich. — Po skończonym obiedzie zdejmowano nakrycie i dawano kawę, a pan Wojewoda siedział i osoby co dotrzymowały mu kompanii, a kredencyrz stawiał tacę z winem, i sporsze kieliszki. — Nim ruszą się od stołu, rzecze pan Wojewoda do żony: duszko, możecie pójść, a ja tu z Anglikiem pobawię się. — One duszko znaczyło dobry humor. Zwykle bowiem do południa mówił pan Wojewoda żonie: Moja Imość, a po obiedzie moja duszko, z czego zrobiło się w końcu: moja panno; a był to największy kares, na który czekać musiała pani Wojewodzina, aby się mąż opił. Pani Wojewodzina zwykle też, gdy znaczył się taki bankiet, wynosiła się od stołu z dziećmi i fraucymerem, nim zdjęto obrus.

Mogła być godzina piąta, gdyż obiad do dwóch godzin zabrał, a siedzieli przy stole pozostali, Opat z ks. Proboszczem i dwaj nasi zapaśnicy; a za stołkiem pana Wojewody stał hajduk Bartłomiej, wielki faworyt pański. Wino polało się do lampeczek w kolorze złotym, półmaślacz wytrawny, ale ze smakiem jagódki jeszcze. Co pan Wojewoda wychylił swoją, to nalewał drugą, a pilnować Anglika

*) Rekomendację.

ZALEGANIE Z PRENUMERATĄ POWODUJE WSTRZYMANIE WYSYŁKI

nie było co. Po pierwszych sześciu butelkach, proboszcz wyniósł się za drzwi, a przed pozostałą trójką drugie sześć postawiono. Bawiono się w najlepsze, Wojewoda rozochocił się, a co Anglik, ten wygadywał niestworzone rzeczy. Dwakroć świat był opłynął, ośm razy równik przebył, i był w Indiach wschodnich i zachodnich, a znał Kazimierza Puławskiego (sic), podczas wojny o niepodległość Ameryki. Słuchać go, bo był to człowiek cudowny, jeśli prawdę mówił. Zrobił raz zakład, że przepłynie z Dawiru (sic) do Kale (sic), z falą morską w tyle, ale nie przyszło do tego. Zapyta pan Wojewoda, jak to daleko, czy tyle co stąd do karczmy? Anglik uśmiechnie się i powie, że dalej; ale Opat wesprze swego pryncypała, i zadał Anglikowi, że był natator pływacz, co po łacinie nie to znaczyło, a miał powiedzieć nugator, to jest pleciuch i bałamut. Wojewoda na przechwałki Anglika dykteryjką odpowie: Wy na morzu, my na lądzie, nie ma nam równych. Znałem ś.p. Starostę Siemiechowskiego, Panie świeć nad duszą jego, co chował Bernardyna na dworze, z którym wypijali antałek wina, czop wyjąwszy, a co jeden pił, to drugi kufel trzymał, długo nie wysuszyli antałka całego. — Żyjeże ten ksiądz, zapyta się Anglik? Hola, hola! rzecze pan Wojewoda, czego się Jegomości zachciewa? To była persona słuszna i było w co lać — Tak zabawiali się Wojewoda z Anglikiem, i trzecia szóstka butelek kończyła się; gdy pan Wojewoda na kredencyrza skinie: dajcie no Podkomorskiego, powie. Było to wino, co dał Łętowski od pieczęci na Podkomorstwo krakowskie, Janowi kanclerzowi ojcu. Wino było grube, tokaj prawdziwy, i stare dobrze. Anglik skosztował i pochwalił. Do trzeciej butelki szło jeszcze jako tako. Opat na stołku się kiwał ale pił, a Wojewoda pił, lecz mało co już gadał. Od butelki piątej uwalił się Opat na stół głową, a gdy drugą szóstkę podkomorskiego mieli dawać, zawoła Anglik o rum i sporą szklanicę wychylił, mówiąc: że nienawykły był do słodkiego wina. Wojewoda nie chcąc się dać prześcignąć Anglikowi, wychylił takąż pełną: lecz tu był i koniec walki. Bowiem Wojewoda nienawykły do rumu, i to po winie, jak długi uwali się pod stół. — Anglik na to też czekał, a nie pytając się co z Wojewodą będzie, biegł do Wojewodziny obok, aby napisała mu świadectwo, jako dotrzymał placu panu Wojewodzie. Pani Wojewodzina wylękniona, poleciała do jadalnej izby, ale kredencyrz z hajdukiem zanieśli już byli pana na łóżko; tylko zobaczy głowę Opacią na stole, a pomimo cały swój respekt dla osoby duchownej, od śmiechu wstrzymać się nie mogła.—Z powrotem spyta Anglika: na co mu potrzebne takie świadectwo? — Tu powie dopiero Anglik, po co przyjechał, i że to był zakład z księciem, jako pana Wojewodę przetrzyma przy butelce. Pani Wojewodzina, dama wysokiego wychowania, uśmiechnie się na to, usiądzie do stolika i napisze po francusku: że syn Albionu szczęśliw po morzach, był szczęśliwy w Borkowicach na londzie (sic), wygrawszy zakład. — Anglik pokłoni się, schowa papier, zdrów, jak gdyby nie był nigdy pił, pójdzie prosto do karczmy, kędy ludzie nań czekali i zgodzony woźnica. Kozak wysłany na zwiady, mało czego dowiedział się od Żyda. Konie były z Drzewicy, a dwaj jego ludzie nie mówili żadnym językiem. Zjedli tylko pół barana, a drugą połowę upiekli na drogę, i wypili miodu parę garncy.

Pan Wojewoda przespał całe dwie doby, a pani Wojewodzina biegła do niego, co tylko się ocknął ze snu. Wojewoda nie tylo (sic) był zmęczony co zafrasowany, i oboje długo siedzieli jedno na drugie się patrząc. Pierwsza pani Wojewodzina zacznie: to sprawka tego świszczypały książęcia? Nie daruję ja mu tego, powie pan Wojewoda. Wojewodzina opowie na to o zakładzie i piśmie co dała Anglikowi. Widzisz Imość, rzecze Wojewoda, że mam słuszną rację do gniewu. Taki despekt dopuścić na Senatora, kraj nasz wystawić na szwank honoru, a poczciwe imię Małachowskich podać na niesławę; to niegodne książęcego rodu i syna książęcia Wojewody Ruskiego, tak wysokiego Senatora, którego Polska weneruje. Mniejsza zakład, nie był zły, ale miał był dać znać, abym wiedział z kim spotkanie, i przygotował się na takiego gracza. Że gracz, to gracz i zażył mnie z mańki tą szklenicą rumu, co powaliła mnie z nóg. — Na to pani Wojewodzina rzecze: czego chcesz z tym Sofizdrzałem (sic)! — Niedarmo, powie pan Wojewoda, Włoch pedagoga domowy, co chował go, zwał komedyantem, i że będzie nim do śmierci. Wszakże nie ujdzie to jemu płazem, a przy pierwszym sejmiku spotkamy się. — Co tam mój mężu, rzecze pani Wojewodzina, ot dałbyś pokój. — Na co mi żal, powie pan Wojewoda, to żem pana Wojskiego zatrzymał przedwczoraj do nocy, a te Wąsowicze to opoje i niedarmo noszą gęś w herbie. Gdyby nie to, byłby się miał mój zamorzec z pyszna: a z księdzem Opatem co? Niezdrów, całą noc słabował, i pije herbatę, odrzecze pani Wojewodzina. No! to Imość widzisz, powie Wojewoda, żem lepszy od niego: na czem się ona rozmowa skończy*).

*) Ten zacny ród trzema znakomitymi ludźmi zasłużył się krajowi: wojewodą poznańskim ablegatem do traktatów karłowickich, Janem biskupem krakowskim, nieodstępnym towarzyszem fortuny Jana Kazimierza, i Stanisławem sławnej pamięci marszałkiem sejmu czteroletniego.

STEFAN ŁOCHTIN

(1)

SĄSIAD NASZEGO NIEBEZPIECZNEGO SĄSIADA

SĄSIAD naszego niebezpiecznego sąsiada jest zawsze dla nas interesujący. Ta oczywista zasada każe nam, Polakom, interesować się Francją jako sąsiadem Niemiec, ona także kazała nam szukać przedmiotu zainteresowania wśród sąsiadów Rosji.

Na początku obecnego wieku Rosjanie uwikłali się w wojnę z potężną wtedy Japonią, obecnie znaleźli się w trudnym stadium stosunków z ich olbrzymim sąsiadem chińskim. Chiny tedy i ich przyjaźń czy nieprzyjaźń z Rosją nabierają dla nas specjalnego znaczenia, tym bardziej że ich rola światowa urosła znacznie w ostatnich czasach. O Rosji mówi się często, że jest to niedźwiedź o dwóch paszczach, jednej zwróconej na zachód, a drugiej na wschód. W ten sposób usiłuje się udowodnić, że zainteresowania azjatyckie tego kraju mogą rozwijać się niezależnie od jego zaangażowania w Europie. Teza ta była niewątpliwie słuszna do niedawna, ale można przewidywać, że nie będzie ona tak dalece obowiązująca w przyszłości.

Azjatycka ekspansja Rosji rozwijała się przez cztery wieki w warunkach całkowitego bezpieczeństwa, nic nie przeszkadzało imperium carów rozszerzać granice, gdyż w sercu Azji nie było ani jednego państwa wystarczająco silnego, by postawić czoło Rosjanom. Chiny były za daleko od Rosji w wieku XVII, gdy po raz pierwszy podpisywano umowę graniczną pomiędzy Pekinem i Moskwą w r. 1689. Chiny osłabły w wieku XIX i na początku XX, a żywotne ośrodki obu krajów oddzielały pustynie, góry i odległości niepokonalne technicznie przed epoką samolotu, radia i samochodu. Gdy przyszła era tych wynalazków, początkowo ani Chiny, ani nawet Rosja ich nie posiadały. Dlatego fakt istnienia pomiędzy nimi wspólnej granicy na przestrzeni ponad 6 tys. km nie miał właściwie większego politycznego znaczenia.

W ciągu drugiej ćwierci wieku XX nastąpiły przemiany, które mogą decydująco wpłynąć na to zagadnienie. Przemiany te dotyczą techniki pokonywania odległości, zmian polityczno-przemysłowych w Rosji oraz zmian politycznych w Chinach, zwiastujących nową epokę przemysłową na Dalekim Wschodzie.

Odległości w przestrzeni nie zmieniły się, ale możliwości pokonywania ich są dziś takie, że powszechnie mówi się z dużą słusznością o zmniejszeniu się świata. Dotyczy to przede wszystkim odległych marszów dokonywanych przez wielkie armie. W ostatniej wojnie wojska niemieckie dotarły szybko na Kaukaz, wojska angielskie pokonały z łatwością odległość z Kairu do Tunisu, a przed r. 1939 włoskie dywizje pancerne dały sobie radę z rzekomo nieprzebytymi pustyniami Abisynii. Wyczyn ten został powtórzony przez Anglików w r. 1940-41. W świetle tych wyczynów odległość od Pekinu do Moskwy zmniejszyła się wyraźnie.

Rosja stała się wielkim mocarstwem przemysłowym i światowym, którym nie była przed rewolucją, pomimo wielkości jej ówczesnego obszaru. Nie może ona ciągle jeszcze równać się ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej, ale jej potencjał przemysłowy jest dziś znacznie wyższy od niemieckiego, pomimo że ten także poszedł w górę w porównaniu z r. 1938. Rosyjskie ośrodki przemysłowe przesunęły się w ciągu ostatnich dwudziestu lat bardzo poważnie na wschód w głąb Azji. Ludność Syberii powiększyła się czterokrotnie od czasu rewolucji, a duże ośrodki górnicze i przemysłowe wyrosły na całej przestrzeni od Czelabińska do Władywostoku. Wystarczy wyliczyć nowe stolice przemysłowe Azji sowieckiej — Magnitogorsk, Nowosybirsk, Kuźnieck, Chabarowsk, Karagandę — by się w tym zorientować. Miasta te znajdują się o wiele bliżej terytorium chińskiego niż dawniej Moskwa, nawet licząc odległości na kilometry nie na dni jazdy czy lotu. Doszło do tego, że bombowce sowieckie startujące z własnych baz potrzebowałyby tylko godzin, by bombardować Chiny, a jeśli Chiny będą miały silną flotę powietrzną, to ta sama groźba zawiśnie nad wielkimi przestrzeniami przemysłowej Syberii. Trzeba przy tym pamiętać, że rosyjskie ośrodki produkcji w Azji nie są wcale drugorzędne z państwowego punktu widzenia, przeciwnie mają one znaczenie pierwszorzędne, zarówno co do ich wielkości jak i sytuacji wojskowo-strategicznej w stosunku do Zachodu. Dlatego z punktu widzenia rosyjskiego i światowego sprawa stosunków rosyjsko-chińskich nabrała takich rumieńców, jakich nigdy przedtem nie miała.

Z drugiej strony i Chiny wstąpiły na drogę zasadniczych zmian. O ile na początku stulecia interesowały one świat jako wielki i bezbronny rynek handlowy, całkowicie zacofany w rozwoju ekonomicznym, ale przedstawiający nieograniczone możliwości dla przedsiębiorczych kupców Europy i Ameryki, to obecnie obraz ten ulega istotnym przekształceniom. Chinom przez wieki brakowało silnej centralnej władzy państwowej zachęcającej, a nie powstrzymującej postęp gospodarczy kraju. Ich możliwości surowcowe były duże, ilość niewykwalifikowanych rąk roboczych olbrzymia, choć istnieje spór o cyfrę mieszkańców kraju tak poważny, że znane oceny liczby ludności różnią się nieraz o 50 milionów. Przez długie lata nikt jednak nie przywiązywał wagi do Chin jako do aktywnego członka koncertu wielkich państw — były one bierne politycznie i ekonomicznie.

Obraz, jaki zarysował się w czasie wojny koreańskiej w latach 1950-52, jest całkowicie odmienny. Na widowni światowej pojawiło się państwo, które wprawdzie nie mogłoby kusić się o zwycięską wojnę czy handlową konkurencję z ustalonymi potęgami, jednakże zdaje się nie mogłoby być pokonane przez żadną z nich oddzielnie. Świadomość tego faktu istnieje już w Stanach Zjednoczonych i stanowi dowód, że raz zjednoczone politycznie Chiny zaczynają odgrywać rolę o wiele większą niż w wieku XIX. Rola ich urasta jeszcze bardziej na tle przyjęcia tam nauk Lenina za podstawę myślenia i działania politycznego. Należy przy tym zwrócić uwagę na błąd, jaki popełniamy wszyscy, przyjmując, że to tylko Mao-Tse-tung i jego adherenci są uczniami leninizmu. Już twórca pierwszej chińskiej republiki Sun-Yat-sen był wielbicielem rosyjskiego rewolucjonisty, a Cziang-Kai-szek wychował się nie tylko pod działaniem nauk leninowskich, ale miał formalne związki z Kominternem. Znaczenie przyjęcia tej doktryny polega głównie nie tylko na odrzuceniu wpływów zachodnio-europejskich i amerykańskich, ale i na uznaniu potrzeby szybkiej i szerokiej industrializacji kraju, szczególnie w dziedzinie ciężkiego przemysłu. Tak jak w Rosji uprzemysłowienie udało się dzięki istnieniu doktryny, zdyscyplinowanej partii i milionowych sił roboczych zastępujących swą półdarmową pracą nieistniejące fundusze inwestycyjne, tak i w Chinach może ono zostać dokonane, tym bardziej że ukryte bogactwa tego kraju nie są mniejsze, a można poświęcić więcej żyć ludzkich, które w warunkach cywilizacyjnych Dalekiego Wschodu nie mają żadnego znaczenia.

Do przekształcenia Chin Rosjanie przyczynili się więcej niż inne narody Europy wieku XX. Oni najbardziej wierzą w fantastyczne możliwości rozbudowy Chin i skrycie żywią największe obawy co do ich ostatecznych skutków. Są oni przekonani, że eksperyment przeprowadzony na ich własnej skórze z łatwością i całkowitym powodzeniem da się powtórzyć w Chinach. Sztuka ich obecnych stosunków z Chinami polega na tym, aby wpływać i kierować tym, co się dzieje w kraju Konfucjusza zastąpionego przez Lenina. Chin Rosjanie nie mogą wypuścić z rąk, gdyż są i potrzebne i niebezpiecz-

(Dalszy ciąg na str. 8)

JERZY PIETRKIEWICZ

STYGMATY

I

Ja — stygmatyk wieczności
krwawię.

Szramy snów sprzed dzieciństwa
twarz wywołuje jak klisza.
Oddychać — oddychać nie głębiej,
wyżej!

Szczyty płuc niebem zajęte.
Nieba nie strawię.
Wiem: stygmatyczna cisza
pod gwiazd podkutym tętentem
wisi nad mymi dłońmi,
nad oczyma,
nad czołem —
i z życia trwogę wyżyma,
i siąpi przeczuciami
na dni od nudy gołe.

Boże, niegodnym Twych batogów
pokaleczony wiecznością
stygmatyk smutków,
szaleniec snów.

Za bliskoś,
za bliskoś.

Razi — porazi radość,
pali — popali miłość.

Patrz, płuca podziurawiłeś podmuchem parnym,
niebem się krztuszę
ołtarz ofiarny.

II

I oto
przetrącony mam dotyk,
zmiażdżony wzrok,
zduszony węch,
rozsadzony słuch.

Czas się usuwa pod nogami,
wieczność patrzy oczodołami.
Tylko kosmos — kościotrup kontrastów
kręci się wokół osi tęsknoty.

Ból ogłuchł, stęchł
i spuchł.
Miele się miazga mgły. Gwiazd ruch
na chmurach jak na chorych liczydłach.

O, nie zasypiać, raz nie zasnąć, raz nie rozesłać nocy,
raz nie przykryć się siatką szepczącą
zegara,
lecz na krzyku na wznak jak na marach
legnąć, wyzionąć ostatnią rozpacz,
aż się gwiezdne liczydła poplączą.

Bo
obnażyłeś mi świat ze zmysłów,
Boże.
I w pień wyciąłeś pięciornicę wrażeń,
iżbym był bliżej ciebie.
I oto niebo mi prysło,
gdy pięciorodną zdjąłeś obrożę,
kiedy przygniotłeś własnym ołtarzem.

Spod łaski Twojej kto mnie wygrzebie?

III

O, wydani na pastwę stygmatów,
którzy mnie zrozumiecie po jutrze
za progiem przeczuć
stojąc:

Bóg jest więzienną kratą,
piratem pobłąkanych snów,
w zmierzchu puszystym futrze
wytrych chowa, wyważy wieczór,
wykradnie nów.

O, natchnienie — chorobo wierszy,
Bóg się poezją zaraził pierwszy,
wicher roznosi po ludzkiej kniei
dżumę mistycznych epopei.

Co się rozkłada i umiera —
równe kwitnieniu.
Bóg kraty kuje, kraty otwiera
w świętym zdumieniu.

Śmierć ma szerokie ramiona,
szerokie ramiona ma ziemia,

Dłoń stygmatami natchniona
słowa zaciemnia.

(1946)

(Dalszy ciąg ze str. 6)
ne. Stwarza to zupełnie nowe perspektywy na kontynencie europejsko-azjatyckim, na którym przecież poza Japonią i Anglią istnieją tylko cztery duże mocarstwa — Niemcy, Rosja, Chiny i Indie.

Tym bardziej problem stosunków sowiecko-chińskich winien być znany Polakom, choćby najogólniej, gdyż ich rozwój może mieć znaczenie dla naszych własnych stosunków z Rosją. Problem chiński jest bardzo szeroki i głęboki, a Rosja angażuje się weń coraz więcej. Nie może to nie mieć wpływu na niedźwiedzia rosyjskiego, który nawet mając dwie paszcze, ciągle jeszcze ma ich za mało, jeśli się dobrze zajmie kontynentalnym Dalekim Wschodem.

GEOGRAFIA

Rosja spotyka się z Chinami na przestrzeni ponad 7 tys. km od Pacyfiku do Himalajów. W centrum tej przestrzeni oba państwa są przegrodzone formalnie niezależną Ludową Republiką Mongolii, a wspólną granicę mają na zachodzie, gdzie sowieckie republiki Tadżykistanu, Kirgizistanu i Kazachstanu graniczą z chińskim Turkiestanem (Sinkiang — ang. i Cyncjań — ros.). Następne spotkanie to granica mandżurska wzdłuż rzeki Amur i wąskiego pasa nadmorskiego na zachód od Władywostoku. Ponieważ Mongolia pozostaje faktycznie pod całkowitą kontrolą Sowietów od r. 1924, przeto odcinek 3 tys. km granicy mongolsko-chińskiej wzdłuż południowego brzegu pustyni Gobi i stepów na północ od Wielkiego Muru też jest oczywiście granicą sowiecko-chińską.

Odległości od obu stolic do różnych punktów tej granicy nie są równe; Pekin znajduje się w mniej więcej tej odległości od Władywostoku co Moskwa od Astrachania, od Irkucka co Moskwa od Baku, a odległość Pekin—Ałma Ata w sowieckim Kazachstanie jest niemal równa odległości od Ałma Aty do Moskwy, odpowiadając jednocześnie odległości Moskwa—Madryt.

Sowiety posiadają jednak niemal wszędzie koleje i zarówno Władywostok jak i Ałma Ata mają własne połączenia z Moskwą. Pekin jest połączony tylko z Mandżurią i jej granicznymi miejscowościami, zaś kolej do Kuldży z Pekinu przez Sian-Lanchou w Sinkiangu (na wprost Ałma Aty) jest dopiero w budowie, choć posuwa się bardzo szybko z obu stron.

Sowiety panują strategicznie nad wszystkimi wejściami do Mandżurii („Chiny Północno-Wschodnie" — nazwa oficjalna), kraju historycznie znanego jako brama do podboju Chin; Chiny władają przejściami przez Ałtaj, skąd na zachód wyruszyli Hunowie oraz wyprawy Dżyngischana.

HISTORIA NOWOCZESNA

Stosunki Związku Sowieckiego z Chinami po rewolucji r. 1917 rozwijały się od wyrzeczenia przez rząd bolszewicki wszelkich zamiarów zaborczych do powrotu dawnej polityki carskiej, wzmocnionej tylko przez zastosowanie nowych metod.

Pierwsza umowa po wojnie domowej w Rosji została podpisana w r. 1924 z rządem w Pekinie, reprezentującym formalnie całe Chiny pomimo istnienia konkurencji w Kantonie. Sowiety uznały za nieważne wszystkie umowy międzynarodowe zawarte poprzednio przez rząd carski w sprawach chińskich, protokół bokserski, umowy o eksterytorialności rosyjskich osób prawnych i instytucji na terytorium Chin, wreszcie tajne umowy z Japonią o podziale stref wpływów. Ta sielanka pomiędzy dwoma sąsiadami nie trwała długo. W dwa lata potem Sowiety już siedziały głęboko w wewnętrznych zagadnieniach Chin i przygotowywały sobie rewolucyjnych sprzymierzeńców.

Wybór padł na Kuo Min-Tang i jego wojskowego dowódcę Cziang-Kai-szeka. Kuo Min-Tang przyjął w swe szeregi komunistów i jako połączona organizacja dostał miejsce w Kominternie. Komuniści opanowali polityczne szkolenie wojska (odznaczył się wtedy młody ich działacz Czu-En-lai, dziś premier komunistyczny) i penetrowali wszystkie komórki Kuo Min-Tangu. Armia zorganizowana przy pomocy rosyjskich instruktorów ruszyła na północ bijąc na głowę wojska tamtejszych dyktatorów. Jednak po zajęciu Szanghaju w r. 1927 gen. Cziang-Kai-szek doszedł do porozumienia z prawicą Kuo Min-Tangu, wyrżnął komunistów, rozbroił wierne im oddziały i ustanowił własne rządy.

Była to klęska stalinowskiej frakcji w Moskwie, gdyż to Stalin właśnie nakazał chińskiej KP współpracę i popierał personalnie Czianga. W klęsce tej moskiewskie centrum źle oceniło psychologię i szanse chińskich komunistów, a nie doceniło też ich przeciwników.

Nastąpił okres dzikiej partyzanckiej wojny, w której wybili się powoli dwaj pomniejsi komuniści: wojskowy Czu-Teh i agitator Mao-Tse-tung. Oficjalne czynniki komunistyczne zostały rozgromione przez Czianga i nieliczni partyzanci połączonych sił Mao i Czu uszli przed klęską odbywając kosztowny i dramatyczny „długi marsz" przez całe południowe, centralne i zachodnie Chiny. Marsz po roku trudów doprowadził ich do prowincji Szensi i ustalił ich legendę. Na nowym miejscu założyli oni małe początkowo państwo komunistyczne ze stolicą w Jenanie, które istniało aż do objęcia przez nich władzy w całych Chinach w r. 1949.

Po klęsce projektowanej rewolucji w Chinach Sowiety poszły na politykę równowagi wpływów na Dalekim Wschodzie. Równowaga ta miała trzy elementy z ich punktu widzenia: 1) Japonię, 2) Czianga i centralny rząd Kuo Min-Tangu w Nankinie, 3) komunistów pod wodzą Mao. Bolszewicy starali się mieć dobre stosunki z wszystkimi, a jednocześnie, przy zachowaniu wszelkich pozorów, urywać jak największe kąski Chin dla siebie. Nie wcielili więc Mongolii do ZSRR, zachowując ją jako państwo „niepodległe"; przeprowadzili rozległą penetrację chińskiego Turkiestanu, maskując się jako zwolennicy Czianga, weszli także do Mongolii Zewnętrznej ciągnącej się wzdłuż Wielkiego Muru. Z Mandżurii zostali wypędzeni przez Japończyków w r. 1931 i zaczęli montować koalicję Czianga i komunistów do wojny z Japonią, która na chińskim terytorium rządziła już od r. 1929.

Przez zmienne koleje swych stosunków z Japończykami Stalin dbał o to, by w Chinach nie było silnego rządu, wygrywając zręcznie komunistów przeciw Cziangowi, ale udzielając im tylko tyle pomocy, by nie mogli całkowicie wygrać. Wolał bowiem Chiny rozbite niż połączone pod jednym rządem, mogącym obrócić je znów przeciw Rosji.

W chwili klęski Japonii w r. 1945 Rosja zajęła całą Mandżurię i udzieliła silniejszego poparcia komunistom, udostępniając im przede wszystkim pojapońskie składy broni. Jednocześnie wzmocnili się oni sami na tle rozkładu wojsk nacjonalistycznych, które skutecznie rozbrajali.

W obliczu wzrostu sił Mao, Stalin obawiał się zarówno amerykańskich protektorów Czianga, jak i niepotrzebnego powiększenia autorytetu chińskich komunistów. Nakazał im przeto w r. 1948 szukanie porozumienia z rządem Kuo Min-Tangu. Mao, który spędził wiele czasu na studiowaniu komunizmu i był zdaje się mądrzejszy choć słabszy od Stalina, otrzymał ten rozkaz podczas pobytu w Moskwie. Zgodził się, powrócił do domu ... i postanowił spróbować szczęścia w rozgrywce orężnej. Armie nacjonalistycznych Chin przegrały na polach bitew, komuniści opanowali cały kraj. Stalin stanął wobec dziwnego zjawiska wygranej swej ideologii, z którego wcale nie był zadowolony. Chiny zostały zjednoczone przez komunistów i dla Sowietów zagadnienie skomplikowało się. Tak jak przedtem można było rozgrywać je na wewnątrz, tak teraz pozostawała droga ich całkowitego podporządkowania Moskwie lub też całkowitej utraty.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

POWIEŚĆ O WOJNIE ATOMOWEJ

Na amerykańskim rynku księgarskim ukazała się niedawno powieść poczytnego pisarza Filipa Wylie, pt. „Jutro!"*).

Tematem powieści są wydarzenia, które mogą zajść jutro, to jest wybuch konfliktu zbrojnego pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim. Akcja powieści rozgrywa się w 1955 r.

Powieść warta jest omówienia ze względu na dobre ujęcie obecnego stanu pogotowia Stanów Zjednoczonych do wojny atomowej, wnikliwe przedstawienie nastrojów narodu amerykańskiego w odniesieniu do wojny totalnej oraz niezłe przygotowanie autora w dziedzinie wiadomości o broniach atomowych.

Tocząca się obecnie w świecie dyskusja nad kontrowersyjnymi zasadami nowej strategii amerykańskiej (tzw. New Look) czyni książkę jeszcze bardziej aktualną.

W omówieniu książki pominąłem stronę obyczajową i romantyczną. Ograniczyłem się do strony politycznej i wojskowej. Oto streszczenie powieści.

1. Położenie ogólne

W narastającym po ostatniej wojnie konflikcie ze Związkiem Sowieckim Stany Zjednoczone nie wykorzystały ani swojej początkowej wyłączności w posiadaniu broni atomowej, ani późniejszej swojej przewagi. „Był to czas — powiada autor — kiedy żelazna kurtyna mogła być zlikwidowana li tylko przez postawienie ultimatum... Niestety, nie mieliśmy ani właściwych pomysłów, ani żadnej ideologii. Nasza wizja wolności była krótkowzroczna."

Po ujawnieniu przez Związek Sowiecki posiadania broni atomowej i wodorowej sytuacja zmienia się radykalnie na niekorzyść Ameryki. Następuje długi okres zimnej wojny, gęsto przetykanej międzynarodowymi konferencjami ze Związkiem Sowieckim. Autor rozpoczyna swoją powieść w chwili, kiedy długotrwałe a dotychczas jałowe pertraktacje zaczynają wchodzić na realne tory; według oceny Białego Domu, Stany Zjednoczone znajdują się w przededniu zawarcia trwałego pokojowego porozumienia z Rosją i Chinami.

2. Położenie strony amerykańskiej

a) Stan moralny.

Naród amerykański jest znużony długotrwałą zimną wojną, wojnami peryferyjnymi oraz dotychczasowymi niepowodzeniami w rokowaniach ze Związkiem Sowieckim. Toteż fakt, że pertraktacje wydają się obecnie dochodzić do pomyślnego końca, jest radośnie witany przez społeczeństwo amerykańskie, a zwłaszcza przez niektóre pacyfistycznie nastrojone inteligenckie odłamy. Są one przeciwne wzmacnianiu pogotowia obronnego kraju, które w ich opinii prowadzi z jednej strony do utrwalenia nieufności Związku Sowieckiego wobec szczerości pokojowych zamierzeń Stanów Zjednoczonych, a z drugiej strony do wzbudzania i podtrzymywania we własnym społeczeństwie histerii wojennej.

Aczkolwiek stale mówi się o możliwości napadu atomowego na Stany Zjednoczone, do społeczeństwa amerykańskiego nie może przeniknąć świadomość realizmu tej groźby. Składa się na to, według autora, wiele czynników: brak obcych najazdów w nowszej historii Ameryki. Przyzwyczajenie ludności do wysokiej stopy życiowej i w konsekwencji niechęć przeciętnego obywatela do wyzbycia się jej lub choćby znacznego ograniczenia. Wrodzony brak dyscypliny społecznej i niechęć podporządkowania się zarządzeniom władz, mającym przykładowo na celu organizację cywilnej obrony przeciwlotniczej. Wreszcie znaczny procent w społeczeństwie amerykańskim elementów kryminalnych i niezrównoważonych psychicznie (zwłaszcza wśród ludności miejskiej) nie rokuje dobrych nadziei na przetrzymanie kryzysu, związanego z wojną na własnym terenie.

b) Stan przygotowań obronnych.

W ciągu dziewięciu lat od zakończenia ostatniej wojny niewiele zrobiono dla przygotowania państwa do obrony na wypadek wojny atomowej.

Nie zdecentralizowano wielkich miast i wielkich ośrodków przemysłowych. Nie przygotowano planów i środków szybkiej ewakuacji miast na wypadek zagrożenia.

Dążenia rządu do zrównoważenia budżetu wpłynęły na ogólne obcięcia kredytów wojskowych. Wobec tego istniejące luki w obronnej sieci radarowej nie zostały właściwie uzupełnione. Również ucierpiało lotnictwo, wskutek redukcji stanów osobowych nie było dostatecznej ilości wyszkolonych załóg do najnowszych samolotów.

Sam pomysł cywilnej obrony przeciwlotniczej (Civil defence) nie znajduje powszechnego uznania w kraju. Jak wyraża się jeden z wybitnych gubernatorów, „jest to tracenie pieniędzy, rozpraszanie energii społeczeństwa, mieszanie się cywili w sprawy wojskowe, a najważniejsze — to popieranie przez Waszyngton ograniczania wolności osobistej szarego człowieka". Organizacja cywilnej obrony przeciwlotniczej nie jest ujęta centralnie i należy do władz poszczególnych stanów. Przeto jej sprawność i skuteczność całkowicie zależy od nastawienia miejscowych czynników.

W dziedzinie przygotowania środków ataku (czy odwetu) atomowego Stany Zjednoczone znajdują się na takim poziomie, że wywołuje to z jednej strony uczucie bezpieczeństwa i pewności siebie nie tylko wśród społeczeństwa, ale i najwyższych czynników, a z drugiej strony rodzi niewiarę w możliwość wojny atomowej w ogóle.

3. Wiadomości o stronie sowieckiej

Wiadomości o stronie sowieckiej są skąpe. Możliwość produkcji i ewentualne zapasy bomb atomowych i wodorowych nie znane. Istnienie długodystansowego lotnictwa bombowego z silnikami o napędzie turbinowym stwierdzone. W ostatnich latach zaobserwowano smugi samolotów nad Alaską i Kanadą, przypuszczalnie samolotów sowieckich.

Natomiast głęboki wywiad amerykański nie stwierdza w ostatnich czasach ani w Rosji, ani w krajach okupowanych absolutnie żadnych oznak jakichkolwiek przygotowań wojennych. Pokrywa się to z ogólną tendencją dyplomacji sowieckiej, wyraźnie zmierzającej do ostatecznego sfinalizowania warunków współżycia pokojowego ze Stanami Zjednoczonymi.

4. Działania wstępne

W końcu listopada zaobserwowano smugi samolotowe nad Stanami Zjednoczonymi. Usiłowania przychwycenia tych samolotów przez myśliwców amerykańskich nie udają się. Rosjanie latają bardzo wysoko i bardzo szybko. Wywołuje to ogromną konsternację wśród czynników politycznych i wojskowych. W kołach politycznych uważa się za gruby nietakt ze strony sowieckiej latać nad Stanami Zjednoczonymi w czasie, kiedy rokowania pokojowe dobiegają pomyślnego końca. Niemniej jednak lotnictwo amerykańskie otrzymuje zadanie prowadzenia w ciągu następnych sześciu tygodni „powietrznej gry wojennej" (oficjalnie) z pełnym wyekwipowaniem bojowym, mającej na celu nieustanne patrolowanie nad krajem. Prowadzi to z jednej strony do uciążliwych i trudnych modyfikacji w istniejącej sieci dozorowania i alarmowania cywilnej obrony przeciwlotniczej.

*) „Tomorrow!", Philip Wylie, Rinekart and Company, Inc., Nowy Jork, Toronto.

5. Sowieckie uderzenie w powietrzu

Dzień 23 grudnia przypadał w tym roku w sobotę. Ludność całych Stanów Zjednoczonych w nastroju świątecznym dokonywała zakupów w natłoczonych sklepach. Natężenie ruchu ulicznego w godzinach popołudniowych osiągało swój kulminacyjny punkt.

W tymże czasie stwierdzono nad północną Kanadą bardzo duże formacje sowieckich dalekosiężnych bombowców, lecących w stronę Stanów Zjednoczonych. Następuje ogłoszenie cichego pogotowia alarmowego tylko dla członków Civil defence. Pozostała część ludności nie wiedząc o niczym, w dalszym ciągu tłoczy się w ciasnych ulicach amerykańskich miast.

Oczywiście następuje natychmiastowe uruchomienie amerykańskiej czynnej obrony przeciwlotniczej. Bombowce sowieckie ponoszą straty, lecz fala za falą nadlatują nad Stany Zjednoczone.

U wybrzeży kalifornijskich zjawiają się, dotychczas nieujawnione, dwa lotniskowce sowieckie, z których samoloty atakują zachodnie i południowo-zachodnie Stany.

W godzinach popołudniowych i wieczornych dnia 23 grudnia lotnictwo sowieckie zrzuca cztery bomby wodorowe: na San Francisco, Los Angeles, Filadelfię i Nowy Jork oraz bomby atomowe („o nieoczekiwanej sile niszczenia" według oceny czynników wojskowych) na 25 większych miast. Łódź podwodna wystrzeliwuje bombę wodorową na Waszyngton. Dalsze fale nieprzyjacielskich samolotów rozpylają w pobliżu trafionych bombami atomowymi celów zasobniki z bakteriami oraz gazem trującym (nerve gas).

6. Skutki działania sowieckiego

W opisie makabrycznych skutków działania bomby atomowej autor nie odbiega zbyt daleko od tego, co wiemy o skutkach w Hiroszimie i Nagasaki oraz o powojennych doświadczeniach na amerykańskich poligonach. Bombom wodorowym przypisuje (zdaje się, słusznie, w świetle ostatnich amerykańskich doświadczeń na Pacyfiku) działanie o sile żywiołowej, niszczącej doszczętnie całe obszary geograficzne.

Wskutek uderzenia sowieckiego w ciągu kilku godzin zginęło lub doznało śmiertelnych obrażeń około 20 milionów ludzi.

Nieprzeliczone masy ludzkie rzuciły się w dzikiej, niczym nieokiełzanej ucieczce z ocalałych części miast zbombardowanych lub z miast zgoła jeszcze nietkniętych na wieś. Mord, gwałt, grabież, pożoga rozlały się po całym kraju. Wszelkie usiłowania doraźnego opanowania sytuacji przy pomocy policji i wojska nie osiągają żadnego powodzenia. Fale ludzkie, zatrzymywane od przodu ogniem broni palnej, parły po trupach dalej. Aparatura administracyjna wskutek zniszczenia najważniejszych jej ośrodków, uszkodzenia sieci łączności i kolejowych oraz bezładnego zatłoczenia szlaków samochodowych — jest bezsilna.

Wśród kompletnego chaosu i rozprężenia powstają wyspy determinacji i oporu, organizowane przez dzielnych ludzi, pełnych poczucia obowiązku społecznego.

7. Decyzja amerykańska

Gdzieś na prowincji w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia zbiera się nieliczna garść tych co ocaleli, a którzy poczuwają się do dalszej odpowiedzialności za losy narodu: speaker izby, zaprzysiężony jako nowy prezydent (poprzedni zginął), trzej członkowie gabinetu poprzedniego prezydenta, sędzia sądu najwyższego, siedemnastu senatorów, trzydziestu ośmiu kongresmanów oraz grupa wyższych wojskowych.

Prezydent, nakreśliwszy pokrótce obraz zniszczeń, powszechnego chaosu i paniki, formułuje trzy możliwości, stojące przed narodem amerykańskim.

Po pierwsze: kapitulacja. Nieprzyjaciel zaproponował drogą radiową warunki: wydanie amerykańskich zapasów broni atomowych, rozmontowanie zakładów energii atomowej, dopuszczenie sowieckich kontrolerów do Ameryki, żadnej okupacji, żadnej kontrybucji. Prezydent ocenia, że te warunki, pozornie łatwe, doprowadzą z biegiem czasu do całkowitego ujarzmienia Stanów Zjednoczonych.

Po drugie: kontynuowanie własnego odwetu atomowego. Został on zapoczątkowany natychmiast po rozpoczęciu natarcia sowieckiego. Zniknęły z powierzchni ziemi Moskwa, Leningrad i wiele innych większych miast sowieckich. Nieprzyjaciel poniósł bardzo ciężkie straty. Lecz, ocenia prezydent, żeby złamać nieprzyjaciela, lotnictwo własne będzie musiało prowadzić swój wysiłek czas dłuższy (na przykład miesiąc), a to z powodu niewielkiej urbanizacji Związku Sowieckiego i rozproszenia jego ludności. W międzyczasie nieprzyjaciel zapewne wznowi swoje bombardowania. Prezydent ocenia, że własna ludność nie będzie w stanie znieść dalszego pozbawienia siedzib, chłodu, głodu i stanie wobec całkowitej zagłady.

Po trzecie: użycie łodzi podwodnej „Nautilius", jako środka natychmiastowego i zapewne skutecznego odwetu. Łódź ta o napędzie atomowym, wyjaśnia prezydent, została pomyślana jako olbrzymia bomba wodorowa. W przewidywaniu natarcia sowieckiego została ona przesunięta gdzieś na Bałtyk. Uczeni obawiają się, że jej wybuch może mieć siłę zupełnie nieobliczalną, pociągającą za sobą wskutek możliwości reakcji łańcuchowej następstwa kosmiczne.

Po dyskusji zebrani decydują się na ostatnią możliwość. W nocy tegoż dnia, „Nautilius" wpływa do Zatoki Fińskiej i wysadza się w powietrze. Finlandia, Litwa, Łotwa, Estonia znikają z powierzchni ziemi. Wybuch sięga aż do miejsca, gdzie kiedyś była Moskwa. Pył radioaktywny niesiony przez wiatry przyziemne oraz ruch obrotowy ziemi, zatruwa cały obszar wielkorosyjski, uralski i syberyjski, sięgając aż do wybrzeża Oceanu Spokojnego.

Po dwóch tygodniach następuje kapitulacja tego, co pozostało przy życiu w obszarach południowo-rosyjskim i kaukaskim.

„Ostatnia wojna — pisze autor — została skończona. Ostatnia największa przeszkoda na drodze ku wolności człowieka została usunięta."

★

Na zakończenie ograniczę się do podkreślenia kilku zasadniczych, moim zdaniem, punktów.

Tło powieści, to obecna rzeczywistość amerykańska, widziana oczami Amerykanina, głęboko zatroskanego przyszłymi losami swego narodu.

Niezmiernie umiejętnie i realistycznie przedstawia autor przygotowanie przez Związek Sowiecki zaskoczenia strategicznego Stanów Zjednoczonych, polegające na całkowitym uśpieniu czujności przez pozorne dążenie do sfinalizowania umowy pokojowej oraz na zachowaniu w kompletnej tajemnicy przygotowań do natarcia.

Wybór momentu uderzenia sowieckiego (zima, zła obserwacja powietrzna, okres świąteczny, urlopy personelu wojskowego i administracyjnego), świadczy o doskonałym wyczuciu u autora znaczenia zaskoczenia operacyjnego.

Obraz całkowitego załamania się struktury administracyjnej i społecznej państwa jest wstrząsający. Napisany niezmiernie realistycznie miał on niewątpliwie na celu obudzić sumienia jego rodaków.

Natomiast użycie „Nautiliusa" jako środka odwetu wkracza w dziedzinę fantazji jules vernowskiej. Ponieważ środek ten pomyślany został jako jedyny możliwy, przeto zakończenie powieści nie może nie wywołać dość pesymistycznych wniosków u amerykańskiego czytelnika.

Tadeusz Popławski

DLA TEATRÓW AMATORSKICH

Zofia Kossak: KIELICH KRWI. Obrazek sceniczny w dwóch aktach. Veritas. Londyn 1954. Stron 24.

Veritas ma nową pozycję wydawniczą z gatunku bardzo w tej chwili na emigracji poszukiwanego. Jest nią dwuaktowy obrazek sceniczny Zofii Kossak, przeznaczony dla teatru amatorskiego, o temacie zarazem religijnym i historycznym polskim. „Kielich krwi" przedstawia męczeństwo św. Stanisława ze Szczepanowa. Autorka poprzedza tekst krótkimi wskazówkami o postaciach dramatu i dekoracjach. Wydawcy opatrzyli tekst dwiema dobrze wybranymi ilustracjami, a mianowicie fotografiami rysunku Albrechta Dürera „S. Stentzlaus" i płaskorzeźby Wita Stwosza z ołtarza św. Stanisława w kościele Mariackim w Krakowie przedstawiającej scenę zabójstwa na Skałce.

ENCYKLIKA FULGENS CORONA

Dokumenty nauki Kościoła. Papież Pius XII: Encyklika „FULGENS CORONA" na rozpoczęcie roku maryjnego. Veritas. Londyn 1954. Stron 16.

Broszura składa się z polskiego tekstu krótkiej encykliki papieskiej wprowadzającej rok maryjny, objaśniającej dogmat Niepokalanego Poczęcia, wyliczającej łaski roku maryjnego i warunki ich osiągnięcia, oraz z rozporządzenia wykonawczego świętej penitencjarii.

KRAUZOWIE PO ANGIELSKU

Herminia Naglerowa: LOVES AND AMBITIONS. Heinemann. Londyn 1954. Stron 264. Cena 12/6.

Znana firma wydawnicza Heinemanna wypuściła drugą w ciągu roku powieść polskiego autora. O ile jednak „The Knotted Cord" Pietrkiewicza było książką nową pisaną dla czytelnika obcego po angielsku, „Loves and Ambitions" jest tłumaczeniem przedwojennej powieści Naglerowej „Krauzowie i inni". Ściśle mówiąc jest to tłumaczenie pierwszego tomu „Krauzów", która to powieść składa się z trzech części. Publiczność brytyjska lubi opowieści o życiu spokojnych ludzi. Tło galicyjskiego miasteczka sprzed wieku może być dla niej nieco egzotyczne, ale bardziej zrozumiałe niż tło polskiego życia ziemiańskiego z tej epoki. Wydawcy za najwybitniejsze cechy autorki uważają „prawdziwe zrozumienie" i „dojrzałe współczucie" postaci, pozbawione sentymentalizmu.

Autorka zaopatrzyła powieść krótką przedmową, malującą tło historyczne dla brytyjskiego czytelnika.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

ZWIĄZEK ZACHODNI WITA ZJEDNOCZENIE

„Walne Zebranie Związku Polskich Ziem Zachodnich, obradujące w dniu 4 kwietnia 1954 r. wita z głębokim zadowoleniem osiągnięcie jedności narodowej, potwierdzone złożonymi w dniu 14 marca br. podpisami stronnictw politycznych pod Aktem Zjednoczenia.

W szczególności, Walne Zebranie Związku Polskich Ziem Zachodnich wyraża wiarę, że zasada utrzymania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, sformułowana w Akcie Zjednoczenia wśród naczelnych zadań polityki polskiej, przyświecać będzie zjednoczonemu obozowi walki o niepodległość, wzmacniając i potęgując wysiłki całego narodu w kraju i na emigracji nad zabezpieczeniem słusznych praw Polski.

Związek Polskich Ziem Zachodnich ze swej strony zapewnia, że jak to czynił dotąd, tak i nadal wnosić będzie swój wkład w dzieło odbudowania niepodległości Polski na obszarze od Odry i Nysy Łużyckiej po linię traktatu ryskiego.

Walne Zebranie Związku Polskich Ziem Zachodnich oczekuje wraz z ogółem Polaków, że wyznaczenie następcą Prezydenta R. P. gen. K. Sosnkowskiego, pod którego przewodnictwem prowadzone były owocne prace w sprawie zjednoczenia, otworzy i rozszerzy możliwości wspólnych i zgodnych działań polskich na gruncie międzynarodowym."

Rezolucja ta została uchwalona na dorocznym zebraniu Związku Zachodniego w Londynie, grupującego przebywających na uchodźstwie Pomorzan, Poznańczyków, Górnoślązaków i Cieszynian.

Prezesem nowego Zarządu Związku wybrano S. Krauzego, wiceprezesami F. Biela, L. Orlickiego i Z. Poklękowskiego, sekretarzem S. Brewkę, skarbnikiem F. Jasienieckiego, referentem imprezowym F. Bajorka, do komitetu redakcyjnego „Przeglądu Zachodniego" P. Hęciaka i K. Majewskiego. Do Rady Związku po wyborach uzupełniających weszli ponownie E. Raczyński i E. Sojka, a także Z. Czarnota Bojarski, A. Gaś, E. Kołodziej i M. Mela.

REZOLUCJA POLAKÓW W NIEMCZECH

Walne zebranie członków monachijskiego Ogniska Zjednoczenia Polskich Uchodźców w Niemczech uchwaliło w związku z podpisaniem Aktu Zjednoczenia następującą rezolucję:

„My, Polacy w Monachium, zgromadzeni na dorocznym walnym zebraniu Zjednoczenia Polskich Uchodźców, wyrażamy naszą prawdziwą radość i zadowolenie z powodu podpisania w dniu 14 marca 1954 r. w Londynie Aktu Zjednoczenia polskiej emigracji. P. gen. K. Sosnkowskiemu ślemy wyrazy szczerej wdzięczności za jego trud i pracę w doprowadzeniu do tego zjednoczenia, a przywódcom stronnictw politycznych, którzy Akt Zjednoczenia podpisali, wyrażamy uznanie za to, że dali nam wszystkim dowód, iż dobro ojczyzny jest dla nich sprawą pierwszą".

Prezesem Ogniska jest p. A. Czerwiński, sekretarzem p. B. Szarlak.

DZIECI W BRYTANII DZIECIOM W NIEMCZECH

Komisja Pomocy Dzieciom Polskim w Niemczech zwróciła się za pośrednictwem Komisji Nauczania Przedmiotów Ojczystych do wszystkich ośrodków nauczania przedmiotów ojczystych w Wielkiej Brytanii z apelem do dzieci, by część otrzymywanych od rodziców pieniędzy na swe drobne przyjemności ofiarowały dzieciom polskim w Niemczech. Apel spotkał się z serdecznym przyjęciem. Przykładem może być szkoła nauczania przedmiotów ojczystych w Wolverhampton, która do tej pory zebrała na ten cel ponad 20 funtów.

Zgodnie z uchwałą specjalnej komisji, z udziałem przedstawicieli Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii i w Niemczech, zdobyte tą drogą pieniądze oceniane na 10 pct ogólnej sumy pomocowej dla dzieci polskich w Niemczech, postanowiono zużyć na zakupienie i przesłanie podręczników, książek i czytanek polskich.

RZĄD AUSTRALIJSKI O GRANICY ODRA-NYSA

Występując w obronie naszych ziem zachodnich zagrożonych rewizjonizmem niemieckim, V doroczny walny zjazd Rady Naczelnej Polskich Orga-

nizacji w Australii przesłał odpowiednią rezolucję premierowi rządu federalnego p. R. G. Menziesowi. Prezes Rady gen. Juliusz Kleeberg otrzymał obecnie z sekretariatu prem. Menziesa odpowiedź zapewniającą, że rząd Brytyjskiej Wspólnoty Narodów śledzi pilnie sytuację i że w razie potrzeby podejmie decyzję, jakiej by wymagał rozwój wypadków.

AUSTRALIA ZAWIESIŁA KRZYWDZĄCY PRZEPIS

Rząd australijski zawiesił przepis zobowiązujący prasę obcojęzyczną do drukowania 25 procent tekstu po angielsku.

Cofnięcie krzywdzącego nakazu nastąpiło wskutek starań Polaków, ich reprezentacji jaką jest Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii. Rada zwracała się w tej sprawie na piśmie kilkakrotnie do ministra imigracji p. H. B. Holta, przy okazji zaś każdej z nim rozmowy członkowie Rady przypominali o zniesieniu przepisu.

POLAK SOLICITOREM W SYDNEY

P. A. Iwczenko, absolwent polskiego wydziału prawa w Oxfordzie po uzupełniających studiach i złożeniu przepisanych egzaminów został zaprzysiężony przez sąd najwyższy stanu Nowej Południowej Walii jako pierwszy Polak solicitor w Sydney. P. Iwczenko oprócz pracy zawodowej, w której służy pomocą dość licznym Polakom nie posiadającym dobrej znajomości angielskiego, bierze czynny udział w życiu społecznym. Już drugi rok z rzędu jest członkiem prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji Społecznych w Australii i członkiem Zarządu Koła SPK Nr 1 w Sydney.

Z TEKI PANI MALINY

Malina Zaleszczycka
pułkownikowa dyplomowana
Earl's Court, 12.4.54

Jagodo Kochana,

Bazuka wróciła z terenu z bardzo złym morałem. To drobne nieporozumienie między nami, o którym Ci pisałam, zostało zlikwidowane. Stałam przed wejściem do Ogniska z majorem Wężem i rozmawialiśmy swobodnie o Panu Prezydencie. Nagle słyszę ktoś z tyłu mówi „A co na to Pan Mikołaj?". To Bazuka nie wytrzymała. Weszliśmy więc razem do środka, w szatni przyłączyli się Szmatkowscy. Ateński, który stał pochylony nad gablotką z orderami i zdawał się być tym zajęciem zupełnie pochłonięty, musiał nas usłyszeć, bo nie podnosząc głowy zapytał: „Podpisze, czy nie?". Zajęliśmy całą kanapkę i dwa stoliki, coraz to ktoś się przysiadał, ale temat Następstwa prędko się wyczerpał, bo wszyscy byli jednogłośni w ocenie Postępowania. Toteż po małej godzince przeszliśmy na bombę wodorową.

Bazuka wyraziła się, że bomby wodorowe dadzą początek niesłychanemu rozwojowi wojny partyzanckiej i Oddziałów Leśnych dla uniknięcia zgrupowań. To bardzo oburzyło pułkownika Babinicz-Kowalskiego (wiesz, ten b. dowódca Pierwszego Pułku Petyhorców). Podkreślił on zaraz, że Bazuka nie zna się na niczym, bo taktycznie rzecz biorąc bomba kobaltowa (wodorówka to pojęcie przestarzałe) jest tylko nowym zastosowaniem taktyki kawaleryjskiej. Bomba to unowocześnienie głębokiego zagonu kawaleryjskiego, wdarcia się na tyły nieprzyjaciela. „Kiedy robiliśmy rajd na Żabinkę"... zaczął opowiadać, ale tu już nie wytrzymał Felicjan i przerwał mu.

„W waszych rajdach kawaleryjskich narobiliście trochę bałaganu i dezorganizacji na tyłach, to prawda. Ale co za porównanie. Teraz uważa Pan, Pułkowniku, jedna bomba pada na Londyn, druga na Midland, trzecia na Paryż, czwarta na Westfalię, piąta na Nowy Jork, szósta na Pensylwanię, siódma na Kalifornię, ósma na Moskwę, dziewiąta na Kaukaz, dziesiąta na Donbas, jedenasta na Kuznieck i co dalej? Nie ma wielkich miast, nie ma wielkiego przemysłu, nie ma szybów naftowych, rafinerii, kolei, szos, lotnisk. To znaczy co? To znaczy, że kończy się lotnictwo, broń pancerna, transport kolejowy i samochodowy. Koni już w Europie nie ma. Czyli zostaje co? Zostaje tylko piechota. Piechota, Panie Pułkowniku przejdzie bez dróg i przejdzie po ruinach, piechota opanuje teren, utrzyma teren, zorganizuje teren. Bomby zniszczą wszystko z wyjątkiem piechoty. Zniszczą przerosty nowoczesnej techniki wojskowej i cywilnej. Kiedy się bomby wyczerpią, kto wygra wojnę? Wygra wojnę piechota. Piechota jest królową broni, zawsze była królową broni i będzie królową broni."

Felicjan mówił z takim przekonaniem i tak głośno, że nikt mu niczego nie przeciwstawił. Powtarzam Ci jego treść, bo obawiam się, że Wy tam w USA, a szczególnie w Pentagonie nie macie dość bezstronnych i doświadczonych rad i nie doceniacie czym być może — jak mówi Wyspiański — piechota polskiej emigracji u Waszych znaków.

Z państwowym pozdrowieniem

Twoja

Malina

„MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata: półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.).

Printed for „Myśl Polska" by Gryf Printers (H. C.) Ltd., 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11, tel. BAT 0879.